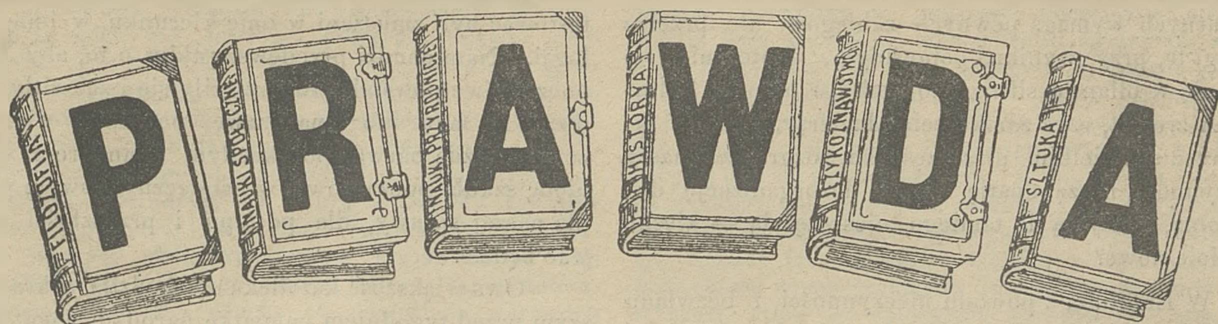
Nr 52 (1614). Warszawa, 30 grudnia 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Gdzie zbawienie?

Wiosną tego roku, z powodu wysuniętego przez sfery rządowe projektu powszechnego nauczania‘ kładliśmy nacisk pilny na potrzebę organizowania prywatnych szkół polskich, jako na ratunek i zbawienie społeczne. [1])

Niezawodnie inicjatywa prywatna, skalą i potęgą działania, nie może mierzyć się z inicjatywą skarbową, mającą do rozporządzenia zastępy ludzi i miljony rubli, tym mniej zaś może się jej przeciwstawić. Niezawodnie też ze skarbowej szkoły elementarnej korzystać należy w tej mierze, w jakiej korzystać z niej można: nie możemy pozyskać w szkole rządowej ojczystego języka, jako wykładowego w wyższych oddziałach, to prawda; wszelako z każdą nową szkołą lud nasz, przy nieznacznym ze swej strony wydatku, zyskiwać będzie dom szkolny, kawałek gruntu pod ogród dla dziatwy, przyrządy, sprzęty i pomoce naukowe, które po za różnicami językowymi, mieć będą niezmienną wartość użytkową.

Przy opodatkowaniu gruntowym, — przypominaliśmy to już przed półrokiem, — osiem razy większym, niż to, które powinno na nas spadać podług skali, obowiązującej w Cesarstwie, przy całym uciążliwym systemie opłat wyjątkowych i finansowych obarczeń, rząd centralny ciągnie z kraju naszego corocznie dochody olbrzymie: niechaj tedy mało choćby cząstka sum owych wraca do nas doraźnie w postaci licznych zasiłków na budowę szkół. Niechaj w ten sposób powoli tworzy się w kraju naszym i narasta to materjalne podłoże organizacji oświatowej, które w kulturze każdego narodu gra rolę wielką i niezbędną.

Ale któż z nas będzie tak naiwny, by wierzyć, że skarbowa szkoła elementarna odpowie zadaniom naszej kultury, że zaspokoi głód umysłowy ludu polskiego, że przed dziatwą polską otworzy skarbiec dziejowego dorobku myśli polskiej?

Z obcej ręki otrzyma chłop nasz szczepionkę kultury; elementarze dlań bić będą tłocznie petersburskie; umysł jego podźwignie i obudzi ze snu dźwięk niewłasnej mowy...

A zresztą jakże dalekim jeszcze jest kraj nasz od urzeczywistnienia zasady nauczania powszechnego, zasady wyznaczającej jedną szkołę dla każdych 50-ciu dzieci w wieku szkolnym. W myśl tego stosunku szkoła każda przypadać powinna na 250—300 mieszkańców. Tymczasem w kraju naszym istnieją zakątki, w których, jak wylicza pan H. W. z tablicą statystyczną w ręce [2]), jedna szkoła przypada na 14 tysięcy ludności!

Z wykazu pana H. W. widać, iż do najbardziej upośledzonych pod względem oświatowym należą zachodnie powiaty gubernji Lubelskiej, zwłaszcza zaś powiat Puławski, w którym aż pięć gmin świeci niemal kompletnym brakiem szkół początkowych. Gminy owe: Karczmiska, Kurów, Opole, Rybitwy, Szczekarków, — to pięć jezior martwych, na ziemi żyznej tworzących nieruchome namuliska; to — głucha puszcza głów, wegetujących poza narodem, poza Polską, po za człowieczeństwem.

Tam strzelić winna promieniem natychmiastowym inicjatywa prywatna; tam szkoły polskie natychmiast choćby z pod ziemi wyrość winny! Nie zasłaniajmy swego małodusznego lenistwa trudnościami legalizacji, kosztami urządzeń! Ludowi szkołę wiej-

---

[1]) P. artykuł p. n. „Szkoła początkowa“, nr. 15.

[2]) P. „Kurjer Warsz.“ nr. 352.

ską wystarcza oddać w ręce, on koszta jej utrzymania nadal sam już opatrywać będzie. Co do stosunku z władzami, to istotnie, z chwilą zamknięcia Macierzy Szkolnej w Królestwie Polskim, tworzenie szkółek elementarnych wymaga pewnych zabiegów, ale przecie zabiegi te, przy wyniku pomyślnym, skutecznie się opłacają w bilansie sił narodowych i w bilansie kultury. A zresztą, czyż zamknięcie Macierzy, będące samo przez się wielkim nieszczęściem, rozgrzesza naszą bezczynność, naszą apatję, naszą dezorganizację dobrowolną, dodającą do tamtego nieszczęścia — klęski i niedole nowe?

W Lublinie, z powodu nieczynności i bezwładu członków, uległy zamknięciu 3 oddziały tamtejszej oświatowo-kulturalnej instytucji „Światło". Czyż dobrowolni winowajcy i sprawcy tego upadku również żałobą narodu tłomaczyć się będą, w niedoli kraju szukać win swych odpuszczenia?

Więc już do tego doszliśmy, że im srożej nas los dociska, tym szerzej odsłaniamy piersi swe jego ciosom? Więc gdy nam miecz wytrącono z dłoni, sami precz odrzucamy tarcze i łamiemy pługi, bezradnie waląc się żywo do trumny?

Straszliwe przeżywamy chwile — tak! Ale dlatego właśnie, że godzina jest tak ciężka, wątpić nam niewolno! rąk opuszczać nie wolno! albowiem zwątpienie przegryza ową resztę sił, które nas ratować winny, które nas uratować mogą.

Mnóżmy szkoły i szkółki ludowe; jeśli nie stać nas na rozpalenie ogniska, niećmy jeden promyk, jedną iskrę. Zanim nadpłynie przymusowa fala oświaty, lud nasz wiejski stanąć winien na żywym, mocnym pokładzie kultury polskiej. Wówczas wpływy obce nie zatopią go, będą chwiać nim i kołysać, ale go nie zatopią.

W kraju naszym, ujarzmionym przez fanatyzm katolicki, na polu oświaty, równie jak w innych dziedzinach liczebnie przeważać będzie niewątpliwie żywioł zachowawczy. Nie sądzimy wszelako, abyśmy, jako postępowcy, na gruncie szkoły elementarnej, protestować byli zmuszeni w imię kierunku, w imię ideologji. Nam chodzi przedewszystkim o to, aby szkoły początkowe powstały, rozkrzewiły się i zakwitły. Nie dbamy o taką lub inną barwę, ponieważ wierzymy, że pod każdą barwą, pod każdym sztandarem dźwignięta, szkoła początkowa, w ostatecznym swym plonie, dla naszej sprawy, dla postępu i przyszłości pracować będzie.

Owa większość katolicka obchodziła w kraju naszym przed tygodniem pamiątkę narodzin boga, który stać się miał zbawieniem świata. My, postępowcy, skromniejszej hołdując wierze, skupiamy nadzieje swe dokoła narodzin — człowieka, który stanie się oporą ojczyzny. Człowiek ów zrodzi się z łona ludu, a kolebką jego będzie — szkoła ludowa.

W niej zbawienie!

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Zatarg Rosji z Ameryką — Zerwanie traktatu — Reorganizacja Indji — Na drodze ku autonomji — Sprawy perskie — Sprawy trypolitańskie — Rewolucja chińska — Układy).

Sprawa żydowska w Rosji i związany z nią system paszportowy wypłynęły na widownię świata politycznego w sposób dość charakterystyczny. Oto Stany Zjedn. Am. Półn., zniecierpliwione tym, że Rosja wzbrania wstępu do siebie 2 miljonom obywateli amerykańskich żydowskiego pochodzenia, zerwały traktat zawarty pomiędzy Rosją a St. Zjednoczonymi d. 18 gr. 1832 roku.

W pomienionym traktacie mieściła się bowiem umowa tej treści, nigdy przez Rosję nie dotrzymana:

„Handel i żegluga pomiędzy posiadłościami wysokich umawiających się stron będą wolne i są oparte na wzajemności. Mieszkańcom obydwu państw *wzajemnie*

LEON CHOROMAŃSKI

ZŁOTA RYBA.

(Próba charakterystyki typu odszczepionego).

Jest polana, zarosła chwastami, na skraju miasta — tam, gdzie ono spada ku rzece: małe, słoneczne miejsce — na stoku wzgórza — zielona oaza wśród bruków. Nieco wyżej, z boku schody kamienne, którymi ludzie pną się w górę i staczają na dół, dalej — paszcza lwia, z której w basen granitowy leje się struga wody. Naokół piętrzą się domy, błyszczą tysiące okien. Tam to ja się wylegam po całych dniach, odkąd przestałem pracować. Mam w uchu przelewanie się i bulgotanie zgiełku ulic, mamroty ludzi i bydląt. Odwracam głowę od muru, pełen cierpkiej pychy próżniaka. Dziś żadnej pracy nie uznaję za wartą zachodu. Zgubiłem gdzieś chęć do pracy, jak niektóre strumienie gubią swe łożyska powierzchne i zapadają się w podziemia, nim dobiegą ujścia. Słońce mnie pali, mój zrudziały surdut rudzieje coraz bardziej. Zaciskam pięści, wtłaczam je w puste kieszenie i drzemię, *na biało*, w blaskach przywidzeń lśniących i zimnych, jak lodowce. W ostatnich tygodniach ciało moje chudnie przeraźliwie. Tak to ja dojrzewam do trupiarni!

Ale, zanim resztę mych kości przygarnie kostnica, myślę czasem o pewnym dniu wiosennym, kiedy przypadek i kaprys kobiety uśmiechnęły się do mnie na krótkie szalone dni i noce.

* * *

Wychowałem się na zapadłej prowincji, w głuchej mieścinie, podobnej do rzuconej w chwasty zbutwiałej opończy. Podczas spiekoty letniej podnosiły się tam piętrowe tumany kurzu i pędziły dziko naprzód, osypując po drodze przechodniów i rozpierzchając się z szorstkim szmerem po ostach i spaczonych parkanach. W dni dżdżyste tworzyła się na rynku ogromna kałuża. Jej szklista powierzchnia odbijała pierwszy błękitny uśmiech nieba i rogi księżyca. Z furtek nizkich domków wytaczały się kaczki, przewalając z nogi na nogę, i kusztykały do wody. Na widok cichej, pobłyskującej stalowo toni wydawały gardłowe okrzyki i poruszały radośnie ogonami. Puszczały się na wodę i odpływały lekko, równo, pociągając za sobą kaczęta, podobne do żółtych kulek puchowych.

Ale oto słońce dopraża dzień i drugi, wiatr zanosi na powierzchnię warstwę kurzu, toń traci połysk, jak oko bielmami zasnute. Kałuża wysycha, cofa się do środka, kurczy się, ropieje, traci urodę. Nie od-

będzie wolno wchodzić do wszystkich tych portów, miejsc i rzek, należących do każdego z obydwu państw, gdzie dozwolonym jest handel cudzoziemski".

„*Nie będzie im wzbronionym zatrzymanie się tam i mieszkanie* wszędzie we wspomnianych miejscowościach, gdzie ich zatrzyma potrzeba; wskutek tego *korzystać będą z takiego samego bezpieczeństwa i opieki*, z jakich korzystają mieszkańcy tego kraju, gdzie oni będą przebywali, z tym jednak warunkiem, że oni podlegać będą istniejącym tam prawom i instytucjom, szczególniej zaś posiadającym moc uchwałom handlowym".

Należy zauważyć, że zatarg z powodu zakazów i szykan względem żydów w Rosji ciągnie się już oddawna. Wszyscy ministrowie spraw zagranicznych Unji Amerykańskiej byli tego zdania, że rosyjski sposób interpretacji cytowanej umowy nie odpowiada warunkom traktatu. W r. 1908 prezydent Taft zobowiązał się znieść te ograniczenia, lub traktat zerwać. Ponieważ wszelkie przedstawienia w tej mierze nie odniosły pożądanego skutku, przeto sprawa zerwania traktatu stanęła na porządku dziennym i została wreszcie dokonana w sposób dla Rosji wielce kłopotliwy, bowiem spodziewać się trzeba, że inne mocarstwa (Anglja, Francja, Niemcy) wystąpią z żądaniem analogicznym.

Nowoczesne prawo publiczne nie czyni różnic religijnych między ludźmi i nie dopuszcza żadnych z tego powodu ograniczeń. Rosja ze swą strukturą wyznaniową pozostała w tym względzie na boku, lecz trudno przypuszczać, by długo zachować mogła odrębność, niewspółmierną ze zwyczajami dzisiejszego świata. Rezygnacja jednak z tego stanowiska pociąga za sobą logicznie zniesienie linji osiedlenia i skasowanie paszportów, co wywoła istny w obyczajach rosyjskich przewrót. Nic dziwnego, że Państwo nie kwapi się z decyzją, pociągającą za sobą tak niezwykłe skutki.

Natomiast grupa nacjonalistow pośpieszyła wnieść do Dumy projekt nowej ustawy celnej tytułem represji i odwetu za uczyniony Rosji afront.

Echa wspaniałego *durbaru* w Delhi nie przestają zajmować opinji politycznej. Rząd brytański nie poprzestał na samej uroczystości, która ogromem swym i blaskiem niezatarte wywarła wrażenie na 300 miljonów Hindusów; miał być to wstęp jedynie do reform na szeroką zakreślonych metę a zdążających do reorganizacji Indji na modłę autonomiczno-federalistyczną z ośrodkiem w Delhi, pradawnej stolicy Wielkich Mogołów. Trudno o stosowniejszą chwilę do tego wspaniałego aktu przezorności politycznej, który do całego gmachu wielkiego imperjum, wspartego na podstawie liberalizmu i federacji, dodaje owo niezbędne uzupełnienie; spodziewać się można, że położy ono kres namiętnej w Indjach agitacji przeciw rządom brytańskim, które odtąd sprawować ma w Delhi wice-król jako namiestnik cesarski, a zarazem—superarbiter wszystkich indyjskich władców hołdowniczych i krajów autonomicznych. W ten sposób wewnętrzna struktura Indji oprze się na zdrowych, nawskroś nowoczesnych podstawach i przypominać będzie konstytucję Kanady lub Australji. Obecna reorganizacja Indji jest jednym więcej tryumfem idei autonomiczno-federalistycznej, która we współżyciu narodów jest tym, czym prawa człowieka są we współżyciu jednostek. *Durbar* więc Jerzego V-go był dla Indji wypadkiem epokowym i dobroczynnym.

Innego jest zdania lord Curzon, były wicekról indyjski i zwolennik tradycyjnego systemu silnej ręki. Lord Curzon powstał też w Izbie bardzo energicznie przeciwko współdziałaniu Anglji z Rosją w krainie szachów, co prowadzi do niebezpiecznego sąsiedztwa na granicy afgańskiej. Uspokojono poczęści jego obawy zapewnieniem, że Rosja nie dybie na całość terytorjalną Persji; jednocześnie zaś, wskutek nalegań ze strony Anglji, rząd rosyjski począł miarkować zapały swoich emisarjuszów w Teheranie, a perski *chargé d'affaires* złożył dn. 22 b. m. w Petersburgu żądane oświadczenie o przyjęciu wszystkich punktów, wymienionych w ostatnim *ultimatum*. Morgan Shuster dostał więc dymisję; rychłej jednak zgody nie wróżą bynajmniej wypadki w Tebryzie, gdzie toczą się krwawe bitwy pomiędzy hufcami *fidajów* a rosyjskim korpusem kozackim.

Trypolis, przedwcześnie i nazbyt skwapliwie mianowany włoską prowincją, uszczuplił się ostatnimi czasy o miejscowość Dżanet, na granicy Sahary, gdzie wkroczyły wojska francuskie, rzekomo dla zapewnienia spokoju.

Dotkliwszą jeszcze lukę w „posiadłości" włoskiej uczyniła Anglja, zajmując za zgodą Turcji, zatokę Solum w Cyrenaice, gdzie stworzyć może pierwszorzędną podstawę operacyjną dla swojej marynarki, neutralizując znaczenie włoskiej przystani Tobroku, również w Cyrenaice

---

bija już białych chmur ani gwiazd. Mętna śniedzieje zwolna, miejscami przebija barwami zgniłych tęczowań, miejscami rudzieje. Kona kałuża.

Męty, cofając się, zostawiają na podschliskach czarny nalot, mazisty i popękany, jak skóra znoszona. Tysiące much obsiadają podeschłe miejsca i żerują.

Zlatują się z brzękiem — lśniące, szmaragdowe, chełpliwe, zbójeckie, przywabione smacznym odorem. Kałuża kurzy się rozpaczliwie, bucha smrodem, jak kadź piekielna. Zatrute miazmaty porywa wiatr i dmie w otwarte okna.

Kiedy kałuża przemusuje i nabierze kwaśno-ostrego, miażdżącego nos, zapachu, nadciągają świnie Idą ponuro i pogmerawszy ryjem, jak kłody walą się w lepki, fermentujący muł. Zawracają gałkami oczu i leżą w upojeniu, jak palacze opium.

Ha! ha! ha! — napatrzyłem się na ten klejnot! Mieszkańcy tej dziury zajmowali się drobnym handlem i cichemi łotrostwami. Jako robotnicy byli partacze, jako filozofowie mieli jedną ideę: pielęgnować swą kałużę. Na jej widok chrząkali z uciechy, jak wieprzaki. Nie w jednych oczach leżało odbicie tego płynnego kameleona, którego skóra mieniła się zależnie od słoty czy suszy. Nie w jednych oczach przeglądało to dno grzęskie lub suche i spękane, jak wrzód po wyciśnięciu. Kałuża nie sprzyjała rozkwitowi umiłowania bliźnich. Raz w nocy obudziłem się, siadłem na łóżku. Gęsty deszcz siepał w okno. Wiatr skowytał. Mój towarzysz chrapał. Uczułem tchnienie kałuży z za okna. Podniosła się i rozwarła paszczę ociekającą: stamtąd wywalił się szary, skrwawiony kłąb szeptów. Powiała na mnie lodowata, lecz mocna i sprężysta ochota: wstać, wyciągnąć rękę w ciemność chrapiącą, nabiegłemi krwią palcami nadybać szyję... udusić.

Powietrze tej mieściny nie służyło mi. Wystraszyła mnie ciemna nienawiść, która na podobieństwo wymiotów pełzła mi do gardła. Trzeba było uciekać: duszę ratować. Znalazłem się w stolicy. Odetchnąłem, jak zbieg, gdy tętent pogoni ścichnie. Przychodziłem z dobrymi zamiarami. Nastawała moja godzina próby, epoka zetknięcia się z ludźmi s z e r s z e g o obowiązku. Cóż to za obowiązek szerszy w naszych czasach, hę? Usłużność płaska wobec złota — nic więcej! Jeżeli świat nie jest dotąd ruiną i domem kaźni, jeżeli spotkać jeszcze można uśmiech czysty i odrobinę mądrości, to dzięki tym nielicznym, co nie bałwochwalą złota. Na mej drodze do czystego chleba i powietrza stanęli ludzie złota. Toń ich ideału lśniła złociście, lecz pławiły się w niej świnie, jak w kałuży. Jak obuch w czoło uderzyła mnie ich niechęć zaciekła do wszystkiego, co w człowieku nie jest jeszcze automatem. Ach, ci przedrzeźniacze prawdy! Ach, ci arlekini szychu! Jakże oni nienawidzą, zgorzkniale a tępo nienawidzą, niezależności sumienia, wzroku, postawy, gestu. Sprzedawałem im ręce. Chcieli zagrabić mi wolę. Chcieli wydrzeć i miętosić me serce w brudnych łapach! Żądali bym

leżącej. We Włoszech wieść o tym kroku wywarła przykre wrażenie, bowiem politycy włoscy domyślają się nie bezpodstawnie, że jest to rodzaj demonstracji na rzecz Turcji. O ile owa demonstracja przyśpieszy zawarcie pokoju — przewidzieć trudno.

Najnowsze depesze z Chin donoszą, że Tybet staje się znów państwem niezależnym, teokratycznie rządzonym przez lamów, a Mongolja zamierza wyodrębnić się z kolei i założyć własną dynastję pod egidą Rosji. Tymczasem w Szanghaju toczą się układy pomiędzy delegatem Yuanszikaja, gen. Tangszaoj, a wodzami rewolucji.

Ci ostatni stawią następujące warunki: abdykacja Mandżurów, stworzenie rzeczypospolitej chińskiej z dr. Sunjatsenem i Juanszikajem na czele; prezydenci mają być nadal obieralni i mianować będą członków rady ministrów.

Strona przeciwna domaga się jednak pozostania dynastji, co nie wróży dodatniego wyniku tych układów, jak się zdaje, wdrożonych przez chytrego Juanszikaja, któremu niezależy na czasie. Jakoż na linji Jangtsekiangu nastąpiło zawieszenie broni, co pozwalą wzmocnić pozycje wojsk cesarskich.

BADANIA NAUKOWE.

„Etyka płciowa i pedagogika".

(Z powodu pracy d-ra. Fr. W. Foerstera).

Pobudką do ogłoszenia książki był smutny stan moralny dzisiejszych społeczeństw. „Wzrastające zdziczenie płciowe i lekomyślna nieopatrzność w tym kierunku epoki naszej jest objawem, ostrzegającym nas w przerażający sposób, gdzie zajść może gromada ludzka, jeśli na korzyść kultury wiedzy zaniedbuje kulturę woli i sumienia. To zaniedbanie charakteru staje się o tyle groźniejszym, że cywilizacja nowożytna uderza na materjalną stronę naszej istoty coraz to większym zastępem coraz silniejszych ponęt i pokus". Dla usunięcia złego autor wskazuje cały szereg środków, w których skuteczność wierzy święcie, chociaż jednocześnie zupełnie jest pewien, że nie zdołają one ani trochę przekonać ateistycznych zwolenników t. zw. etyki nowej. Zwraca się więc przedewszystkim do młodzieży, która intuicyjnie może odczuć wyższość starych prawd chrystjanizmu nad starczą słabością nowych. Pod adresem zaś ogółu czytelników wypowiada następującą uwagę: „Uzasadnianie więc i dowodzenia moje wymagają od czytelnika pewnego, odpowiedniego poziomu duchowego, bez którego wszelka argumentacja odbija się od pewności siebie tak zwanego zdrow ego ludzkiego rozsądku" (str. 202). Pomimo to wszystko „są one jednakowoż odwołaniem się do rozważniejszych pierwiastków pośród tych, którzy się odsunęli od religji". (str. IX).

Nie należymy do intuicyjnie odczuwającej młodzieży, ażeby jednak zdobyć prawo do osądzenia książki, musimy chcąc nie chcąc zaliczyć się do ludzi *niepozbawionych rozważniejszych pierwiastków.*

Życie płciowie może być należycie uregulowane — zdaniem autora — tylko przez naukę Chrystusa. Współczesna etyka stoi na tak chwiejnych i kruchych podstawach, posiada tyle rażących błędów i braków, że stosowanie jej w życiu tylko powiększa istniejące zło, gdy tymczasem Kościół dzięki kilkunastowiekowemu doświadczeniu jest w stanie głosić wypróbowane prawdy, które jako prawdy religijne posiadają w ludzkich oczach charakter kategoryczny i bezwzględnie prawdziwy. Pokorne przyjmowanie prawd religijnych, tej „wyższej mądrości" nie jest niemożliwym wyrzeczeniem się własnego życia i myśli, lecz „właśnie warunkiem rozszerzenia widnokręgów osobistego życia; tylko przez wiarę w wyższą mądrość zdoła się człowiek wyzwolić z ciasnego więzienia własnego doświadczenia i własnego poznania" (str. 9).

Nie o ciasnotę sybjektywnego doświadczenia jednak tu chodzi, bo temu łatwo zaradzi poznanie doświadczenia innych, lecz o ograniczoność rozumu ludzkiego wogóle. „Jedynie wiara w Boga, wyzwolenie w Chrystusie i kierownictwo wielkiej tradycji doprowadzi nasz rozum do największych odkryć, uchroni go od bezdroży i wirów subjektywnego zaślepienia i oderwanej od życia martwej spekulacji".

Kto chce rozprawiać o zagadnieniu płciowym

---

zgadywał ich zamiary, bym opłakiwał ich straty! Zarzucali mi obojętność i dumę, jak gdyby duma nie była najlepszą z cnót ludzkich. Chcieli, abym na serjo brał ich zabiegi i ich samych: co za bezczelna zarozumiałość! Wszędzie spotykałem małego człowieka, niebezpiecznego przez to, że przedrażnionego w instynktach, że rozżartego na współzawodników — zapadłego w wir i ukrop wielkomiejskiej pogoni za złotem, zdyszanego i zapienionego, robiącego bokami i oszołomionego. Wszędzie mi lśniło bujne krzewienie się frazesu, panowanie samic i próżności, upadek pogody ducha i męstwa. Co za potworna, skrnercza, urągliwa chuć niszczenia mięśni, nerwów i duszy bliźniego? Ha! ha! ha! miałem wziąć udział w komedji współczesnej! Czymże jest ona — ta komedja? Oto trzeba, koniecznie trzeba, abym ja pracował aż do wyschnięcia rąk na drzazgi, aż do zjełczenia szpiku. W jakim celu? Aby rodzina filistra i gracza giełdowego miała za co lubieżnie pielęgnować swoje siedem grzechów głównych. To jest powinność, odarta z barwnej łuski frazesów. Ach, wkrótce sprzykrzyło mi się ocierać o pychę ludzi, oddanych zawodom ogłupiającym! Nie chciałem brać udziału ani ponosić odpowiedzialności za przyszłość, jaką ziemi gotują bałwochwalcy. Nie chciałem, aby oni utwierdzali swój typ! Wzgardą w pysk im bryzgnąłem! I dlatego nieraz noc jesienna, gdy wicher strąca resztę liści z drzew przemokłych i okiennice szczękają, jak zęby w ciemnościach — widziała mnie drżącego na ławce skweru publicznego, trawionego zgryzotą myśli, które jak skazańcy, krwią ociekały, witającego mglisty świt rozbiciem i bólem w krzyżu — tym bólem biedaków, napastliwym, zażartym, szarpiącym jak tępy nóż ścięgna i wżerającym się w mlecz pacierzowy.

Nastała wiosna, a ja byłem znów bez pracy. Nad miastem płynęły obłoki, jak roje dzieci, powiewających figlarnie chustami. Ileż nadziei wyłania wiosna! Nadzieje te pewno będą zawiedzione — myślałem chmurnie, włócząc się po ulicach bez określonego celu. Stanęłem przed pałacem o fasadzie w głębi wielkiego dziedzińca. Od tego gmachu wiał spokój głębokiej wody w lesie. Oddzielony od ulicy kratą żelazną osłonił swe okna firankami, nie chcąc patrzeć na życie uliczne. Myślałem że posadzki lśnią w tych pokojach jak zwierciadła, a stare cenne obrazy drzemią w cieniu komnat, ukryte przed okiem i zgiełkiem ludzi ciekawych. Stałem długo przed żelaznymi sztachetami. Uspokojenie sączyło się w mą pierś.

Ale gdym ruszył dalej, gdy turkot wozów, dzwonki, nawoływania zahuczały, uczułem znów mściwą zażartość. Usunęłem się nieco na bok od ciżby, w stronę małego skweru, gdzie stał pomnik świętego. Przeczytałem napis na cokole: *Fortitudo—Temperantia—Justitia.* To właśnie, czego brakuje tej całej hołocie, spacerującej teraz w słońcu, sytej i zadowolonej. Kobiety snuły się na wysokich korkach, pochylone nieco naprzód, jakby chciały upaść w pierwsze lepsze objęcia. Zaglądałem zuchwale pod

powinien być kompetentnym t. j. posiadać gruntowną znajomość prawdziwych potęg życia i bezwzględną niezależność od nich ducha. Nowożytni etycy nie czynią zadość tym warunkom i grzeszą brakiem albo jednego z nich, albo nawet obu; „warunki te są doskonale dopełnione jedynie przez osobę Chrystusa, a w przybliżeniu tylko przez wielkich Świętych Powszechnego Kościoła" (str. 14). Nie może być więc kompetentnym w tej sprawie i dr. Foerster, skoro nie jest ani Chrystusem, ani wielkim świętym, jednak pomimo to żąda posłuchu dla swoich pouczeń, bo wysnuł je nie z samego siebie, lecz doszedł drogą uczenia się i słuchania wyższej mądrości „w głębokiej bojaźni". Dadzą się one streścić mniej więcej w ten sposób

Etyka religijna nie odrzuca zmysłowości, ani nią pogardza, lecz żąda poddania jej pod rozkazy ducha. Bezwzględne potępianie pozamałżeńskich stosunków płciowych wypływa nie z przeświadczenia, że miłość poza małżeństwem jest niemożliwa, lecz z przekonania o doniosłym wychowawczym znaczeniu małżeństwa dla ludzkości. Aktualne w nowej etyce pojęcie wolności przenosi się także w dziedzinę uczuć miłosnych, lecz prawdziwą, zdrową miłością jest nie miłość wolna, oparta na niewolniczym uleganiu popędom płciowym, lecz związana małżeństwem, jako symbolem wyższości ducha i jego niezależności od zmiennych popędów zmysłowych i chwilowych zachcianek. Pierwiastek erotyczny może być uszlachetniony i pozyskać trwałość tylko w związku, zawartym na całe życie i dla tego to kościół kładzie tak wielki nacisk na świętość i nienaruszalność małżeństwa.

Autor jest zbyt dobrym znawcą życia, aby nie odczuwał konieczności uczynienia pewnego wyjątku albo osłabienia tak bezwzględnego nakazu kościelnego, robi więc następującą uwagę: „Nie zapominam wcale, że mogą istnieć i istnieją bardzo poważne i głębokie powody rozłączenia; chcę tylko pokazać skutki, jakie miałyby potarganie i rozprzężenie uświęconej formy, na niższą i słabszą stronę natury ludzkiej i jakie, twierdzić można, opierając się na doświadczeniu, istotnie ma. Sądzę również, że prawodawstwo nie powinno naciskiem swoim za bardzo utrudniać zerwania małżeństwa i zmuszać do wytrwania w nierozerwalnym związku, tych zwłaszcza, którzy zerwali wszelki związek z głębszym religijnym światopoglądem. Państwo powinno wymagać zachowania pewnego terminu, powinno stawiać pewne przeszkody zabezpieczające od zbyt łatwego ulegania samowoli, lekkomyślności i zmiennym kaprysom; nierozwiązalność jednak powinna być stosowana jedynie przez instytucje religijne, z których najgłębszych założeń wypływa". (str. 32).

Uwaga z wielu względów cenna, bo

1. wskazuje, że autor, ganiąc w etyce pozytywnej względny charakter jej norm, nie miał słuszności, skoro charakter ten nadaje i swojej etyce;

2. dowodzi, że etyka religijna jest ograniczona, skoro sama czuje się zmuszoną do robienia wyjątków dla niewierzących;

3. świadczy, że życie nawet rozumne i uduchowione nie da się w pewnych sprawach pogodzić z wymaganiami Kościoła;

4. przekonywa nas, że z założeń autora wynikają normy niemożliwe do przyjęcia. Wyobraźmy sobie takie prawodawstwo, które będzie odróżniało ludzi „z głębszym religijnym światopoglądem" i bez niego.

Wreszcie samo postulowanie sprzecznych stanowisk dla państwa i kościoła w jednej i tej samej sprawie musimy uznać za szkodliwe i nielogiczne.

Trudno mieć coś przeciwko temu, jeżeli wierzący człowiek uznaje konieczność umartwień i nie chce zerwać małżeństwa, chociaż jest nieszczęśliwe, ale jeżeli komuś narzucamy coś wbrew jego przekonaniu, powinniśmy to uzasadnić! Dr. Foerster każe religijnemu człowiekowi uważać małżeństwo za bezwzględnie nienaruszalne... dlaczego jednak tylko jemu i dlaczego w ogólności? Nie ze względów praktyczno-życiowych, bo te przemawiają w innym duchu. A może dla kantowskiego: „Achtung vor dem Gesetz"? Chyba nie, bo jego bezpodstawność wykazano dawno i sam dr. F. występuje przecież przeciwko „oderwanej od życia martwej spekulacji". Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko autorytet Kościoła w jak najciaśniejszym znaczeniu tego pojęcia, przy którym wszelkie: *dlaczego*? nie może mieć miejsca. Ecclesia locuta, causa finita.

Dla nadania swoim słowom większej wagi autor powołuje się na ateistycznych pisarzy: Goethego

---

kapelusze przechodniów. Widziałem w ich twarzach odbicia i maski starych szematów, które mnie nudziły śmiertelnie. W niektórych oczach było lśnienie jadowitych pogróżek lub kłębiły się chełpliwie nikczemne nadzieje. Czułem lękliwe pomysły zbrodni, kompromisy bezwstydne, palący ślad policzka niepowetowanego, osamotnienie płaczliwe, gnojące się rany sumienia, chłodny połysk w oczach bogaczów, których nuda nieuleczalna prowadzi do manji niebezpiecznych. Ujrzałem wyraźnie, dzięki zapewne przypadkowemu zetknięciu się i kombinacji przelotnej kolorów, na cylindrze pewnego pana małego czerwonego djabła z opuszczonym na bok ogonem. Djabeł miał pysk mizerny i wyraz ograniczony. Pan niósł go prosto i troskliwie. A potym — mówiłem sobie w duchu— pan się rozbiera, pan się kładzie do łóżka, pan bawi się z djabełkiem. Cóż to za igraszki ohydne: daje mu gryść swój palec z sygnetem. Słyszałem chrupotanie krzywych zębów szatanika-gagatka na złocie. Całe życie tego pana jest służbą u tego demonika podrzędnego i zaszarganego, u tego djablika tępego najniższej rangi. Tak, najniższej rangi!

Takie myśli wymykały mi się wprost wbrew woli. Odskakiwały od mózgu jak iskry od żagwi. Włokłem się ciągle bez kierunku i celu. Znalazłem się w dzielnicy starej i ubogiej. Blade dzieci siedziały na kamiennych progach. Na narożnikach roztaczały ogony pawie, krwawiły piersi pelikany. Zabawne smoki polichromowane rozdziawiały groźne paszcze, szybowały żaglowce. Dotykałem tkliwemi myślami siateczek drobnych zmarszczek na twarzy ubogich kobiet. Skóra pod ich oczyma była różowa, anemiczna i przejrzysta, oczy wyblakłe i zastygłe w wyrazie bezgranicznej cierpliwości. O nędzo, jakżeś tam szeroko rozpostarłaś swój sztandar zbrukany! W ciemnym jak wnętrze pieca sklepie węglarza siedziała ruda dziewczyna. Twarz miała zasłoniętą rękoma. Wydało mi się, że płacze. Skacząc wesoło przebiegły dwa psy łaciaste, a potym zaraz gołębie przefrunęły, lśniąc i opalizując. Nagle odjęła ręce: była piękna. Ujrzałem, olśniewająco ujrzałem, że jest zgubiona. Oddaliłem się w milczeniu

Błądziłem długo, aż znalazłem się znów w innej dzielnicy. Rozwierała się przedemną ulica szeroka i potężna, zielona w zmierzchach wieczoru, okrutna, jak szczęki rekina. Nieskończony blady szereg lamp wisiał wysoko i uroczyście. Ciemne jeszcze okna pobłyskiwały jak zwierciadła hebanowe, w które czasem złocista żółtość jaskrów się wkradnie. Uczułem się nagle śmiertelnie znużony i samotny, bez Boga — ojczyzny — nadziei. Zaprawdę nie dla mnie te słowa uzdrawiające! Czułem się wśród tych tłumów niebacznych w pustyni gorszej, niż Sahara. Ach, więc jestem doprawdy zapomniany przez wszystkich—przez braci i siostry moje. A jednak był czas, zmyślałem uporczywie, że spoczywałem w jedwabnym namiocie. Dwanaście najpiękniejszych w kraju dziewic zaglądało lękliwie, czym się obudził. Przynosiły mi kwiaty,

i Schopenhauera, przyczym niemiłosiernie naciąga poglądy pierwszego, który przecież był znany ze swej motylkowatości i naturalnych potomków którego odkrywają jeszcze w naszym stuleciu, i usiłuje w nieprawdziwym, ascetycznym świetle przedstawić poglądy drugiego, chociaż wiadomo, że utrzymywał on stosunki nieuświęcone przez kościół i w pismach swoich domagał się uznania praw mężczyzny do pozamałżeńskich stosunków z kobietami, obszernie i wyczerpująco to motywując.

Broniąc świętości małżeństwa dr. F. sądzi iż powinien występować przeciwko nieślubnym żonom i dzieciom i zrównaniu praw tych ostatnich z prawami ślubnych dzieci, bo takie zrównanie jest „sztuczne i bezwzględnie niemożliwe". „Istotne, realne różnice, jakie zachodzą między koniecznymi i konkretnymi skutkami obu rodzajów macierzyństwa, są tak zasadnicze i głębokie (?!) że nie zdoła ich zatrzeć żadna oderwana, abstrakcyjna niwelacja. Pozbawienie dziecka wszystkich dobrodziejstw ścisłego związku rodzinnego leży w istocie nieprawego związku, i to okradzenie wraz ze swymi tragicznymi skutkami, rzuca na rodziców cień... Czy może mamy także zrównać uczciwość i nieuczciwość ażeby nieuczciwy ojciec nie stracił powagi w oczach dzieci?" (str. 75).

Polemika z takimi zdaniami jest z góry skazana na jałowość, tymbardziej, że w każdej chwili może być przywołany na pomoc nietykalny dogmat o grzechu pierworodnym. Szkoda tylko, że autor nie wskrzesza średniowiecznego obskurantyzmu w całości i nie żąda dla nieślubnych dzieci osobnej barwy ubrania.

Sądzimy, że przytoczony wyjątek jest tak charakterystyczny dla poglądów i metody autora, że możemy nie przytaczać więcej dowodów „obrony starych pedagogicznych i etycznych prawd zasadniczych, językiem nowożytnej psychologji i realistycznej obserwacj życia".

Większą wartość posiada pedagogiczną część książki, chociaż i ona nie jest zupełnie wolną od zasadniczego błędu, tkwiącego w wywodach etycznych.

Zupełnie słuszna jest krytyka pewnych nowych prądów w wychowaniu (fałszywie są one utożsamiane z nowożytnym wychowaniem wogóle), które zagadnienie płciowe przecinają mieczem uświadomienia. Człowiek nie posiada tak dalece wyrobionej woli, aby mógł się zawsze powstrzymać od czynów, które uznaje za złe, a po drugie samo rozmyślanie o sprawach seksualnych i analizowanie ich wzbudza chęć do zakosztowania tego zakazanego owocu. W wychowaniu młodzieży winno się zwracać należytą uwagę na kształcenie charakteru, na hartowanie woli, a oprócz tego na hygienę wyobraźni i nie zaprzątać jej bez potrzeby i zbyt wcześnie sprawami płciowymi. Nie bez znaczenia dla rozwoju i życia płciowego młodzieży jest praca fizyczna, która zasługuje ze wszech miar na uwzględnienie przez wychowawców.

Oprócz tych kilku trafnych uwag i słusznej krytyki dzisiejszej kultury oraz częściowo słusznej polemiki z nowożytną etyką i pedagogją książka nie posiada wartości dla czytelnika „niepozbawionego rozważniejszych pierwiastków". Pod względem układu wielce szwankuje, bo jest zbiorem luźno pisanych rozdziałów, w których najwięcej miejsca zajmują obce cytaty i polemika z cudzymi poglądami z oczywistą szkodą dla strony pozytywnej i jej uzasadnienia.

Wychowanie powinno się zawsze opierać na szerszych podstawach filozoficznych, a głównie zwracać uwagę na stawianie i próby rozwiązywania zagadnień etycznych, jednak nie osiągnie należytych skutków, ani nie zdoła pociągnąć za sobą innych ten, kto pod płaszczykiem filozofji będzie przemycał — chociażby w jak najlepszej wierze — trudne do uzasadnienia osobiste poglądy i przekonania.

Dr. Zygmunt Bujakowski.

LIBERUM VETO.

RADY DLA NARODU, AŻEBY PRZESTAŁ ISTNIEĆ I BYĆ SOBĄ.

Niech mi tego nikt nie poczyta za przymiot lub zasługę, że podróżuję zawsze jak fruwa ptak na długiej nici: nie mogę oderwać się od myśli o naszym biednym i nieszczęśliwym kraju. Takie usposobienie — bardzo dokuczliwe. Ach, ile razy, wyjeżdżając za granicę, pragnąłem zdjąć tę krepę żałobną, którą każdy z nas ma przepasane serce, przestać patrzeć w ciemną noc, którą oświecają zaledwie mdłe gwiazd-

---

sorbety i pocałunki. A teraz? Głód i wyczerpanie czekały do zachodu słońca i napadły mnie na progu wieczoru. Rozglądałem się naokół, jak ranny, któremu trzeba, by kto ranę przewiązał. Słyszałem szurgot nóg i przechodzenie ludzi — mężczyzn, kobiet, dzieci, lecz nikt mnie nie widział. Upadałem ze zmęczenia. Sięgnąłem do kieszeni i namacałem miedzianą dziesiątkę, ostatnią. Cóż z tym zrobić? Co zrobić? Czy kupić chleba? Obracałem w ręku ciemną monetę, aż postanowiłem jechać nad rzekę tramwajem. Tam siądę! Tak dobrze będzie patrzeć na ciemną głębinę i myśleć, że za chwilę wszystko może się skończyć. Od dalekiej wody szedł do mnie głos pociechy w owej godzinie.

Stanąłem na przedniej platformie i pojechaliśmy. Na skręcie, gdy tramwaj zwolnił, lśniąca dorożka dwukonna porównała się z platformą. Wstrzymane lejcami konie zadreptały prawie na miejscu. Młoda kobieta powstała z siedzenia i wyciągnęła rękę ku mnie. Podawała mi nowy lśniący portfel z żółtej skóry. Po chwili portfel miałem w ręce, a dorożka pomknęła dalej. Młoda kobieta obróciła się, roześmiała i skinęła głową potakująco. Jej towarzysz złożył mi ukłon kapeluszem. Jeszcze mgnienie—i znikli w natłoku pojazdów. Byłem w osłupieniu. Stojący obok mnie pasażerowie zdradzali silne zaciekawienie. Pohamowałem się i obojętnie wpuściłem portfel do kieszeni — To moi znajomi — rzekłem — zwracają mi, co zapomniałem u nich przed godziną... Czułem milczące niedowierzanie i oczy, utkwione we mnie. Zeskoczyłem na drugim przystanku. Rozejrzałem się oględnie naokół, wśliznąłem do pustej bramy. Z sercem, które się trzęsło od strachu — zajrzałem! Do dziś czuję dreszcz olśniewający, rzęsisty! Leżały tam w błękitnych lśniących przedziałkach banknoty sturublowe — świeże, czyste, piękne! Dziesięć banknotów! Zresztą — ani szczątka biletu, adresu, listu.

Schowałem portfel. Zapiąłem marynarkę na wszystkie guziki. Zacząłem się śmiać. Ha! ha! ha! Zanosiłem się, jak szaleniec, opierając się o ścianę. Moje nerwy zbyt długo napięte nie wytrzymały. Śmiałem się, parskałem, dusiłem się śmiechem, a łzy ciekły z oczu, łaskotały mi policzki. Zebrała się zaraz koło mnie gromada ludzi. Nachylano się nade mną, coś mówiono. Kobiety kiwały głowami. Uczułem, że będę zgubiony, jeśli nie zniknę zawczasu. Opanowałem się, rozepchnąłem tłum, wyszedłem na ulicę.

Myślałem nieraz o tej kobiecie, której później nie spotkałem już nigdy. Marzyłem o niej godzinami. Z rozbicia i niepamięci udało mi się ocalić mały uśmiechający się kąt jej warg w owej krótkiej chwili, gdy wyciągała rękę do mnie. Cieszyłem się jak dziec-

ki, nie pamiętać o zbieraniu kropel rosy, ażeby nikłym z niej strumyczkiem obrócić ciężkie koło naszego społecznego młyna! Daremnie. Za nami ciągle idzie widmo naszej niedoli, chociażbyśmy jak najprędzej i jak najdalej od niego uciekli.

Od kilku tygodni siedzę tu na jasnym brzegu roześmianego morza i każdy widok wiecznej wiosny, każdą falę ciepłego powietrza, każdy blask słońca, każdą wesołość ludzi, odsyłam do porównania z naszym obrazem ponurej jesieni, z naszą mglistą słotą, z naszym chłodnym pomrokiem, z naszym jadowitym smutkiem. Porównania te są zwykle okropne, wyłączające spółmierność, właściwie tak niemożliwe, jak zestawienie niedźwiedzicy na ziemi i niebie. Ale śród wielu różnic uderzyła mnie obecnie jedna przy czytaniu gazet polskich: tu nikt nie rzuca narodu w piec hutniczy, nie roztapia go i nie odlewa w swej formie, gdyż każdy uznaje, że to jest żywy organizm, że ma swoje prawa bytu i rozwoju, że chce istnieć i tylko tak istnieć, jak chce. Tymczasem u nas...

Uważajcie, co on mówi! Naród polski może sobie być polskim, rosyjskim, arabskim, aby tylko był katolickim. Może przebywać nad Wisłą, Leną, Amazonką, aby tylko stałym jego domem był kościół. Teraźniejsze jego siedlisko, charakter, nazwa, język, obyczaje, sztuka, kultura — wszystko są to znamiona przypadkowe i dobra znikome; główną, niezniszczalną, wieczną rzeczą jest religja rzymska. Co on poza nią czyni — grzeszy. Jeśli zaś dba o zbawienie, powinien pracę zastąpić modlitwą, wiedzę — wiarą, swobodę — niewolą, dumę — pokorą, a godność ludzką tak zdeptać, przekląć, zbezcześcić, ażeby z niej nic nie zostało prócz wstydu. Niestety, są władze świeckie, które posiadają siłę: trzeba im ulegać, ale tylko zewnętrznie; wewnętrznie uznawać wyłącznie zwierzchnictwo papieża i jego sług. To jest mistrz, monarcha, pan wszystkich ludzi a więc i nasz. Wczytujmy się w encykliki, bulle, listy pasterskie — to są nasze prawa, nasze księgi mądrości. Naród, jak człowiek, nie powinien ufać sobie, słuchać swego rozumu, iść za swymi uczuciami — bo są omylne i zawodne. Dla każdego i dla wszystkich wytknięty został raz na zawsze kierunek myślenia i droga postępowania — ta sama dla Polaków, co dla Francuzów, Kafrów, Paragwajczyków. Niech zginie Babel i narody — niech pozostaną tylko katolicy!

Mniejsza o to, czego ten zakonista żąda w szczegółach; główne, że wymaga, ażeby naród polski przestał być narodem polskim i przeniósł punkt ciężkości swego życia poza siebie.

Samolubna, wyzyskiem utuczona, moralnie zgniła burżuazja polska — woła inny obywatel świata — tarza się w patryotyzmie, jak nierogacizna w błocie. Jej gorszące nadużycia, bezkarne rozboje i uprawnione złodziejstwa, jej okrucieństwa i tryumfy nad ujarzmionym ludem, jej przesyt wobec jego głodu i jej zbytek wobec jego nędzy — to ma być przedmiotem czci i ochrony? Trzeba raz skończyć z tą narzuconą i wmówioną miłością dla ojczyzny, dla matki pasorzytów a macochy ich żywicieli. Lud pracujący nie powinien mieć innej ojczyzny, tylko całą ziemię, innego narodu — tylko wszystkich proletarjuszów. Tyle dla niego warte Mazowsze, co Kapitol lub dolina Renu, a więcej wart jeden czarny robotnik z drugiej półkuli, niż polski burżuj.

Sens moralny tego dowodzenia jest taki: naród polski powinien przestać być narodem polskim i przenieść punkt ciężkości swego życia poza siebie.

Co to znaczy jakaś tam ludność miejscowa? — pyta z ironją trzeci apostoł. Z tej ziemi nikt nie wyszedł, wszyscy do niej przybyli, czy zaś o sto lat wcześniej, czy później, to sprawy nie zmienia. I ten, jak każdy inny kraj był polem walki — mocniejsi wypierali słabszych. Ten nieubłagany proces historji trwa dotąd a opieranie się jego działaniu jest równie daremne, jak niedorzeczne. Mówicie, że wlewa się tu żydów więcej, niż Polacy ich strawić mogą? W takim razie oni strawią Polaków. Dla rozwoju ludzkości

---

ko zabawką najmilszą tym kącikiem jej ust i drżałem z obawy, by mi nie zniknął. Ach, wśród tysięcy istot trzeźwych, rozsądnych, logicznych znalazła się jedna głowa szalona! Za cenę tysiąca rubli chciała postawić sobie pomnik zdumienia i pamięci w sercu nieznanego biedaka! Nigdym nie czuł wstydu, że jej oko, ręka i hojność tajemnicza mnie właśnie wybrały, że cisnęła mi złoto z szaloną lekkomyślnością — bez troski, czy pieniądze nie będą źle użyte. Dzięki niej wyłowiłem *Złotą Rybę* przypadku — ja, od którego dotąd nawet marne płotki uciekały. Za cenę tych rubli nie nabyłem ani jednej cnoty. Nie mogłem przecie w ten sposób profanować pamięci Nieznajomej. Nie zrobiłem nic, aby zabezpieczyć sobie przyszłość. Nie nabrałem rozsądku. Nie pamiętałem o czarnej godzinie. Lecz to, o czym myślałem w posępnych wieczorach na prowincji i później, gdy w stolicy żarła mnie nędza — stało się ciałem. Żyłem przez krótkie dni i noce w upojeniu i radości. Gdym całował usta dziewcząt, które kochały mnie za humor i pieniądze— myślałem, że świetne oczy Nieznajomej widzą, jak piję Życie. I miłość moja ku każdej z tych istot lekkomyślnych miała za sprawą Nieznajomej iskrę szczytnego zapału!

Raz spotkałem owego pana, który w ów dzień pamiętny niósł małego czerwonego djabła na cylindrze. Stawiał nogi sztywnie, szeroko a poważnie. Szedł rozdęty, niosąc uroczyście swe obrzydłe grzechy i cnoty sparszywiałe.

— Nie — rzuciłem mu w twarz urągliwie — ja nie wstydzę się wcale tego, że tak niezasłużenie wziąłem pieniądze z rąk nieznanej kobiety. Ach, stary obłudniku, jeden z tych, co chcą okadzać własność zapachem cnót gnijących, nie wstydzę się tak, jak ty wobec siebie twych sprytnych łajdactw!

Żyłem rozrzutnie, bezpamiętnie — aż do ostatniego szeląga!

* * *

O błogosławiony niech będzie kaprys, który nie oblicza, a który sam tylko dać może gorzkiemu sercu biedaka godzinę tryumfu! Błogosławiony niech będzie nie długotrwały mozół, lecz pomysł chwili szczęśliwy. Błogosławione niech będą hojność i wspaniałomyślność! Błogosławiony niech będzie szał! Błogosławioną niech będzie pogarda rozsądku, który rozdaje szelągi i rozlewa zupę rumfordzką! Błogosławiony niech będzie ukrop namiętności i otchłań potępienia, w którą zaglądać mogą najmędrsi tylko i płomienni.

KONIEC.

jest obojętne, jak się będą nazywali zwycięzcy nad Wisłą: po żadnym umarłym narodzie ona nie nosi żałoby, nie włoży jej też po Polakach.

I ten głos żąda, ażeby naród polski przestał być narodem polskim i przeniósł punkt ciężkości swego życia poza siebie.

Ojczyzna jest przeżytkiem, patryotyzm, — przesądem — dowodzi czwarty. Ułatwione komunikacje tak odrywają ludzi od miejsc urodzenia i rzucają po całym globie, że dziś nikt już nie wrasta w żaden grunt. Społeczeństwa to nie są już dawne lasy z głęboko zapuszczonymi korzeniami, lecz ruchome i zmienne gromady. Pretensja do wyłącznego posiadania jakiegoś kawałka ziemi jest obecnie zamachem na braterstwo ludzkości. Wszyscy posiadamy jednakie prawo do tej kuli, która z nami krąży w przestrzeni.

Innymi słowy: naród polski powinien przestać być narodem polskim i przenieść punkt ciężkości swego życia poza siebie.

A ponad tymi głosami brzmi najsilniej ten, który jest wolą wykonywaną: musicie zniknąć!

Takiego drugiego widowiska świat nie zna. Jedyny już dziś naród kulturalny ubezwłasnowolniony, naród, który żyje pod nieustannymi gromami, druzgocącymi jego chatę i dobytek, który patryotyzm wiąże z każdą myślą i uczuciem, który wszędzie roznosi jęki cierpienia i skargi na swą niedolę, ten naród słyszy ciągle z własnego łona głosy, żądające, ażeby jako twór historyczny umarł, lub też uznające za naturalny wypadek możliwość, ażeby on przestał być sobą. Od tego bezsilnego, ledwie swój nędzny byt ratującego narodu wymaga się, ażeby zapomniał o swoich pragnieniach i celach, ażeby wzniósł się do najwyższych szczytów poświęcenia, ażeby urzeczywistnił ideały moralne, które nigdy i nigdzie wcielone nie były, ażeby spełniał zadania, przed którymi cofają się najpotężniejsze i najbardziej zabezpieczone państwa.

Co to jest? Jest to przedewszystkim deklamacja ludzi, którzy nie przywykli do tego, ażeby ich słowa stawały się czynami i obciążały ich jakąś odpowiedzialnością. Gdy w Anglji lub Francji pewne stronnictwo a nawet pojedyńczy obywatel powie, że trzeba podnieść wszystkie stawidła i wpuścić do kraju obce fale, to ma znaczenie i może się odbić praktycznym skutkiem; ale gdy u nas kto powie, że trzeba otworzyć wszystkie drzwi domu i na progu przyjąć chlebem i solą żydów z całego świata — to nic nie znaczy, bo nie my te drzwi otwieramy i zamykamy. Frazesy, oderwane od życia rzeczywistego i niepadające wagą na szalę jego losów, rozdymają się przesadą i usiłują osiągnąć najwyższy stopień radykalizmu. To też krańcowych kosmopolitów klerykalnych, socjalistycznych, humanistycznych, jak u nas, nie spotykamy może nigdzie. A czy dziwno, że oni wywołują najzuchwalsze bluźnierstwa? Gdyby jakiś żyd kijowski, olśniony potęgą tych, od których uciekł i ośmielony słabością tych, do których się schronił, powiedział publicznie, że ma portret Suworina zawieszony w salonie a Kościuszki w kuchni — czyżby mu to groziło jakimkolwiek niebezpieczeństwem? Bynajmniej. Jeszcze by znalazł wspaniałomyślnego obrońcę, któryby wyargumentował jego słuszność.

Wszystkie te jednak [illegible] skrawości nie skrzywią kolei narodu, który najszaleńszych głosów wysłucha i pójdzie swoją drogą. Bo jak morze nie jest tylko wielką masą wody, lecz żywiołem, tak społeczeństwo nie jest tylko wielką masą ludzi, lecz żywym ciałem, które posiada swoją naturę i swoją wolę. Gdyby nasi jednodniowi prawodawcy to rozumieli, mielibyśmy mniej deklamatorów i tych pedagogów, co to mniemają, że tak można zmusić naród do pewnych upodobań, jak dzieci do jedzenia nielubianej potrawy,—ale zato więcej szewców pilnujących kopyta.

Mentona. *Poseł Prawdy.*

KRYTYKA.

Kapitalizm w dziełach Bernarda Shaw'a.

(Dokończenie).

Lecz jeśli praca nie daje człowiekowi stanowiska w świecie, jeśli praca jest upośledzeniem, stanem niższości i uzależnienia, to w jakiż sposób zdobyć można środki po temu, by zyskać niezależność, by dźwignąć się z niedoli? W jaki sposób, w obecnym naszym ustroju kapitalistycznym, dojść do posiadania bogactwa? Przez wyzysk pracujących, ubogich, — odrzecze Bernard Shaw tendencją swych komedji, albowiem praca jest wytwórczynią bogactw.

Posłuchajmy krótkiej, lecz jakże wymownej, wymiany zdań między Mendozą, herszem zbójców, a jego towarzyszami:

— Co do mnie, to w sprawach naszego zawodu zdrowy rozum mi wystarcza... Otóż, na czym-że zawód nasz polega? — Na zatrzymywaniu samochodów i zabezpieczeniu słuszniejszego podziału bogactw między ludźmi.

Demokrata społeczny, z dąsem:

...Bogactw, wytworzonych przez pracę, proszę pamiętać!

Mendoza.

— Bez wątpienia, — wytworzonych przez pracę a przeznaczonych na roztrwonienie przez opasłych próżniaków po jaskiniach niecnoty, szpecących słoneczne wybrzeża Śródziemnego Morza. My na owe bogactwa kładziemy rękę. My na nowo puszczamy je w obieg wśród klasy, która je wyprodukowała, i która ich potrzebuje najbardziej, wśród klasy pracującej.

Shaw, atakując kapitalizm, opierał się nie tylko na spostrzeżeniach osobistych, ale i na studjach społeczno-ekonomicznych, na materjale naukowym. Pióro jego siłę natarcia czerpało niezawodnie z goryczy przeżyć własnych, z owych czasów, gdy jako 20-letni młodzieniec przybywszy do Londynu, pędził lata w głodzie, w chłodzie, w poniewierce, odpychany, rozgniatany w tłoku ludzkim, jak w trybach huczącej maszyny: ale w natarciu swym konsekwencję, ciągłość, powagę i celność pocisków zawdzięczał gruntownej znajomości rozkwitających podówczas, młodzieńczo-tryumfalnych doktryn socjalizmu.

W roku 1879 Shaw wstąpił do Klubu Etycznego, w którym zawarł znajomość z najprzedniejszymi mężami bojującego społecznictwa. Agitacyjne mowy Henryka George'a porwały go i roznamiętniły do granic entuzjazmu. Zagłębił się pilnie w studja nad „Postępem a Ubóstwem", poczem powoli przeszedł do „Kapitału" Marksa. W okresie między rokiem 1883 a 1888 Shaw był zapalonym, do głębi przekonania przejętym, marksistą. W roku 1884 poróżnił się on

z Federacją Demokracji Społecznej, założoną przez zięcia Marksa, Evellinga, a przez Geendmana kierowaną, i przystał do świeżo powstałego kółka Fabianistów — Fabian Society — odrzucających zasadę walki klas i usiłujących w drodze propagandy pokojowej we wszystkich klasach społeczeństwa stopniowo przygotować przebudowę społeczną na nowych podstawach.

Shaw niestrudzonym był agitatorem w usłudze nowej organizacji, przemawiał na wszystkich wiecach, objeżdżał także prowincję, zakładał ogólno-kształcące placówki (Hampstead Historic Club, Fabians Ars Group), redagował ekonomiczny pamiętnik fabianistów, w którym sam zamieszczał artykuły: *The basis of Socializm* tudzież *Historję stowarzyszenia fabianistów*.

Z ognisk propagandy, ze źródeł socjalizmu wyniósł Shaw przekonanie jasne, sąd oczywisty, że klasa kapitalistów — burżuazja równie jak arystokracja— karmi się wyzyskiem ludu roboczego. Widzieliśmy to już z przytoczeń, wyżej zamieszczonych. Dosłownie atoli potwierdza to samo John Tanner, członek klasy Zamożnych Próżniaków. Mendoza, w górach Nevady, ze swą bandą zbójecką, zatrzymawszy jego samochód, przedstawia siebie w ten sposób:

— Jestem rozbójnik, żyję z grabienia bogatych.

Na co Tanner odpiera natychmiast:

— Ja zaś, łaskawco, jestem człekiem z towarzystwa; żyję z grabienia ubogich... Pańska dłoń!

Jednakowoż, śród klasy kapitalistów istnieją rodzaje ludzi różne. Obok kapitalisty próżniaka, mamy kapitalistę czynnego. Ten ostatni atoli pragnie również znaleść dla siebie miejsce w szeregu próżniaków, albowiem ci zajmują stanowiska u szczytu drabiny społecznej. Tam bowiem, ku górze, płyną owoce i plony krwawicy pozostałej ludzkości. Tam, w górze tworzy się nieskazitelny dobór żnajczystszych pasorzytów. Pasorzytów, którzy spo ywają wiele, nic wzamian nie wytwarzając. Kapitalista pracujący bywa pasorzytem w mniejszym stopniu, gdyż bierze udział w wytwórczości, atoli z plonu jej zagarnia więcej, niż mu się należy. Kapitalista — próżnujący, ta prawdziwa jemioła na drzewie społecznym, może być magnatem, lub mieszczaninem. Ten gatunek pasorzyta czystego w sztukach Shaw'a spotyka się względnie rzadko: reprezentują ów typ Crofts, Trench — obaj przedstawiciele arystokracji; Ramsden, Tanner — dzieci środowiska mieszczańskiego; ten ostatni, trzeba dodać, jest jednostką zbuntowaną, rewolucyjną, jednostką która wykroczyła poza obręb swej klasy. Licznie natomiast występują w teatrze Shaw'a kapitaliści działacze, którzy również i w życiu górują liczbą nad grupą kapitalistów-pasorzytów. Należą tu: Burgess, Sartorjus, Pani Warren, Malone, Crampton, Undershaft, Broadlent, Zakasują oni rękawy przy robocie, która *brudzi im dłonie* jak Crafts powiada. Uprawiają rzemiosła, przemysł, handel, pełnią urzędy, służbę wojskową, tworzą mosty, prawa, koleje: wszystkie rzemiosła ich są równe sobie, nawzajem warte siebie: każde z nich jest jednakowo dobre, dobre jak wszystkie inne, jak mówi pani Warren. A wszystkie owe rzemiosła oparte są na wyzysku ludu roboczego, na grabieży wytworów jego pracy.

Dobrobyt, bowiem, tłómaczy swej córce pani Warren to znaczy — „codzień nowa suknia, co wieczór teatr, co noc bal i uczta. To znaczy — śmietanka europejskiego towarzystwa u twych stóp. To znaczy — dom przepyszny i czereda sług. To znaczy stół wyszukany i trunki, dające radość upojenia. To znaczy wreszcie — wszystko, czegokolwiek zapragniesz, co lubisz, o czym zamarzysz"... Dobrobyt, to oznacza także, jak powiada panna Vivie „spędzanie życia na sportach, na polowaniach, ucztach, na wytwornym lenistwie", to, nakoniec, znaczy — „biegać do Lasku Bulońskiego, aby służyć za reklamę swej szwaczce, i nudzić się w operze, aby wystawić na pokaz sznury djamentów".

W gromach potępienia, które Shaw ciska na głowy Zamożnych Próżniaków, pali się religijny, nieubłagany żar apostoła-purytanina, świadczący o węzłach głębokiego pokrewieństwa twórczości „współczesnego Moljera" z twórczością Miltona i Ruskina. Istotnie siła, z jaką Shaw przeciwstawia się klasie pasorzytów, przypomina siłę i radykalizm opozycji pierwotnych chrześcijan wobec świata pogańskiego, lub kontrast — wobec rządów papieskich — protestantyzmu, obnażającego pleśń i zbutwiałość kościoła katolickiego.

— Macie-ż wy odwagę nazywać się chrześćjanami? — zda się do ludzi wołać Bernard Shaw, wskazując na tę okropną otchłań, która świat „dzieli na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli".

Chrystjanizm atoli wystarcza do wykazania krzywd i absurdów ustroju kapitalistycznego, ale nie zawiera w sobie, zdaniem Shaw'a pierwiastków odrodzenia ludzkości. Chrystjanizm rozkwita na padole płaczu. Najbujniej krzewi się tam, gdzie najobficiej płyną łzy. Jest religją cierpienia. Jest pociechą serca, jaka pozostaje po rozbiciu wszelkich nadziei, wszelkiej mocy życia.

Człowiek, stargany klęską, ima się stóp krzyża, aby ocalić się przed rozpaczą. Apostołami prawdziwymi chrześćjaństwa były — ucisk niewoli i jarzmo na karku raba, trąd i paraliż, groza choroby i śmierci, niebezpieczeństwa, kataklizmy, zaćmienia słońca, utrata osób kochanych, wszystko co gnębi, co przeraża, co wymaga balsamu ukojenia, co czeka już tylko łaski, już tylko — przebaczenia.

Chrystjanizm kocha się w nędzy, w kalectwie, w upośledzeniu, w pokorze, w zgiętych kolanach i w krwawym pocie u czoła.

Dla Bernarda Shaw'a — tymczasem — cierpienie, nędza, ubóstwo — są przekleństwami ludzkości. Shaw nienawidzi ubóstwa, bo ubóstwo żyje w brudzie, tarza się w prochu, sypia na niechlujnym barłogu i giąć się musi w wieczystej zależności, w cudzej służbie, w poniewierce. Shaw nienawidzi niedoli, bo niedola nadwątla ducha, podważa dumę i rysuje kryształ serca. Choroba, ubóstwo, ciemnota, będące najżyźniejszą glebą pod zasiew cnót chrześćjańskich, — dla Shaw'a są poprostu wstrętne, gdyż stawią człeka w poziomą brutalną zależność od sił fizycznych.

Pragnieniem jego jest wyzwolenie ludzkości od tradycyjnych ideałów cnoty i dawnej świętości. Świętość nowoczesna dlań to potęga, rządzona mądrością, pogodna, jasna, radośnie dumna i wolna.

I rzecz osobliwa! Shaw, który zrazu tak gwałtowne przypuszczał szturmy do twierdzy kapitalizmu, w kapitaliźmie właśnie dostrzega ów pierwiastek potęgi, ów żywioł odrodzeńczego fermentu. Gromi on i potępia nadal niesłuszny, krzywdzący klasę robotniczą podział wytworów pracy, ale jednocześnie olśniony zostaje przez rozmach energji skupionej w kapitaliźmie, przez ogrom zorganizowanych w jego systemie sił ludzkich i sił przyrody.

Kapitalizm zawiera, według Shaw'a, sam w sobie ziarno samoprzezwyciężenia. Dzierży on w swym ręku wszystkie narzędzia i streszcza w sobie wszystkie przesłanki ekonomiczne, niezbędne dla stworzenia nowej budowy społecznej, niezbędne dla wyzwolenia ludzkości z padołu nędzy i zwyrodnienia.

Ta myśl tkwi u podstaw jednej z ostatnich sztuk angielskiego dramaturga „Major Barbara", myśl że kapitalizm, sam przez się, skuteczniej od łzawej i tkliwej filantropji chrystjanizmu, sposobi grunt dla społecznych, demokratycznych ideałów.

Chrześćjaństwo bowiem nędzę ludzką uczy cierpliwości, czyni ją znośną, wyrywa jej zęby, aby nie kąsała, słowem, niejako, unieśmiertelnia ją na ziemi. Natomiast, kapitalizm, powiada Shaw, jest szkołą walki. Kto pragnie stworzyć nowe fundamenty życia, ten nie ma prawa poprzestawać na błogim szafowaniu balsamów altruizmu, ten ma obowiązek *działać*, wal-

czyć o wolność własną, o władzę, ten przykładem swym winien kształcić i wychowywać innych. W duszę głodnych i uciemiężonych winien wlewać dumę, żar dążeń, żar przedsiębiorczości, niezadowolenia i buntu. Niezadowolenia i buntu, oczywiście, nie tego, który sam w sobie spala się i trawi w jałowym szemraniu i bezsilnej skardze, ale tego który występuje z odwagą na podbój wolności. I dlatego to, czyn każdy, nawet wówczas, gdy powoduje śmierć lub zniszczenie, więcej waży dla dzieła odrodzenia, niżli różana woda współczucia, nawołująca do skruchy.

W myśl tych rozważań, socjalista Shaw oddaje sztandar doskonalszego życia w ręce Andrew'a Underszaft'a, kapitalisty, będącego antypodą Armji Zbawienia, uprawiającej miłosierdzie i altruizm. Ów Undershaft, postać kolosalna, prawie w potędze swej fantastyczna, jest połączeniem w jednej osobie Kruppa, Stumma i Rotschilda. Jest to właściciel olbrzymich fabryk broni — rzeczywisty pan kraju. „Tobie się zdaje, powiada on do syna, marzącego o działalności politycznej, — że krajem rządzicie wy, siedząc w swej głupiej rozmawialni? Nie, mój przyjacielu. Wy czynić będziecie tak jak się nam podoba, toczyć będziecie wojnę, skoro wojna nam się przyda, zawrzecie pokój, gdy nam stanie się pokój potrzebny".

Nie trudno dopatrzeć się w stanowisku i w całym ostatnim zwrocie myślowym Shaw'a wpływów Nietzschego zdwojonych wpływem Jerzego Sorela (Reflexions sur la violence").

Pod natchnieniem też zapewne Sorela wygłasza Shaw zdanie, będące warjantem myśli Platona, a mogące, na dziś, zamknąć w sobie zasadniczą kwintesencję shavizmu: „Zbawienie społeczeństwa nastąpi dopiero wówczas, gdy profesorowie greckiego jszyka zdecydują się fabrykować proch, albo fabrykanci prochu poczną wykładać język grecki".

W. Rzymowski.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE Gdzie zbawienie? — Przegląd polityczny. — ODCINEK: Złota ryba przez Leona Choromańskiego. — BADANIA NAUKOWE: „Etyka płciowa i pedagogika", przez Dr. Zygmunta Bujakowskiego. — LIBERUM VETO, przez Posła Prawdy. — KRYTYKA: Kapitalizm w dziełach Bernarda Shaw'a, przez W. Rzymowskiego. (Dokończenie.) — OGŁOSZENIA. — Spis rzeczy.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**
Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.